

MARGINESY



# ZOSTAW TEN ŚWIAT PEŁEN PŁACZU

przełożył

Maciej Płaza

DeSales Harrison

*The Waters and the Wild*

COPYRIGHT © 2018 BY DeSales Harrison

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Maciej Płaza

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
WARSZAWA 2019

*dla Laury*

Gdybyście mieli noktowizor lub mogli spojrzeć w dół z krokwi kościelnego dachu niczym nocny ptak, dojrzelibyście go – pastora Spurlocka, leżącego na wznak, zatopionego w ciemności, z szeroko otwartymi oczyma.

Nie zauważył tej dziewczyny, gdy wchodziła. Kiedy to było? zastanawiał się, gdy tak spoczywał na łóżku polowym i błędził wzrokiem wśród skrytych w mroku łuków i żebrowań sklepienia. Policzył: trzy tygodnie temu. Minęły trzy tygodnie, od kiedy ujrzał ją przy stoliku kościelnej kawiarni. Wyglądała tak, jak gdyby siedziała tam zawsze, profil miała nieruchomy i poważny niczym postać z płaskorzeźby. Niewielki stolik, który wybrała, znajdował się pod witrażem przedstawiającym Noego. Kruk Noego przyglądał się jej bacznie, a właściwie rozłożonej przed nią kartce papieru, jak gdyby przycupnął na nadburciu arki wyłącznie w tym celu. Potem dziewczyna podeszła do niego, pokazała mu tę kartkę i błyskawicznie wyszła, zostawiając mu jedynie nazwisko „Clementine Abend” nagryzmolone na dłoni.

Jak długo tam siedziała, zapatrzona w wieczorny tłok na ulicy? Czy raczej zapatrzona poprzez ten tłok, poprawił się w myślach, tak jak patrzy się przez wodę na dno przejrzystego strumienia. Czy była tam już wtedy, gdy przepasał sutannę far-

tuchem i jak co dzień o siedemnastej rozpoczął swoją zmianę za kontuarem? I w którym momencie zmieniła się, samoistnie i niepostrzeżenie, z kogokolwiek w kogoś, a z kogoś w tę akurat dziewczynę?

Nie, nie była już dziewczyną. Wyczuwał to nawet ze swojego miejsca za ladą. Ile miała lat: osiemnaście? Być może, choć wyglądała na starszą. Dwadzieścia? Nie, nie aż tyle. Coś w jej zachowaniu, w nieruchomym, zamysłonym spojrzeniu upewniało go, że na nikogo nie czeka, że nikt się do niej nie dosiędzie. Olbrzymia masa ciemności spoczywała mu teraz ciężko na piersi niczym kamienna księga.

Tak, pamiętał, że wybrała stolik pod oknem Noego. Kruk garbił się nad jej ramieniem, smoliście czarny na tle szklistego przestworu wód potopu. Skoro był widoczny, gdy zjawiała się w kawiarni, skoro reszta witrażu jeszcze nie ściemniała, musiała przyjść przed zmrokiem. Siedziała przez cały wieczór, nawet gdy stróż Luis poskładał już pozostałe krzesła, pozsuwał stoliki i przypasał to wszystko łańcuchem do uchwyty zamocowanego w fasadzie kościoła.

– *Buenas noches, padre. Que duerma bien\** – powiedział, jak to miał w zwyczaju, i wyszedł. Zachodzące słońce pozostało za drzwiami. Dziewczyna czekała w nieczynnej kafejce zupełnie sama.

Przez osiem miesięcy działalności kawiarni, urządzonej w dawnej kaplicy Matki Boskiej, pastor Spurlock na koniec dnia zwykł intonować ironicznie:

– Zamykamy, idźcie w pokoju! Święty przybytek czynny codziennie, nawet w niedziele! – Wypełniał przestrzeń dźwięcznym księżowskim barytonem, po czym dodawał, naśla-

\* Dobranoc, ojcze. Śpij dobrze (hiszp.). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

dując emfazę czarnoskórych pieśniarzy: – Zwłaaaaszczu w niedziele!

Teraz jednak nie wiedział, co powiedzieć. Miał szczerą nadzieję, że dziewczyna nie zamierza zostać w kościele na noc. „Całonocni goście”, jak z różną dozą ironii nazywano ich w radzie parafialnej, przychodzili zawsze cichaczem po zapadnięciu zmroku, upychali swoje wózki za kubłami na śmieci w zaułku za kościołem i wchodzili do środka bocznymi drzwiami. Dziewczyna na pewno do nich nie należała. Owszem, miała w sobie coś włóczęgowskiego – na sąsiednim krześle położyła znoszony plecak – lecz w jej postawie nie wyczuwało się aury upodlenia, jaka cechowała „całonocnych” i sprawiała, że wydawali się nietykalni i niedosiężni. Zdejmując fartuch, wielebny Spurlock postanowił zatem przybrać na powrót pozę duszpasterską i zagadnąć ją tak, jak zagadnąłby każdego innego turystę czy przechodnia wchodzącego z głównej alei. Mógł powiedzieć na przykład: „Witam w Parafii Wcielenia Pańskiego. Jestem ojciec Spurlock. Cóż to, córko, dziś cię do nas wprowadza?”. Po raz pierwszy pożałował, że zapuścił aż tak gęstą płową brodę – zakrywała mu koloratkę.

Trzy tygodnie później, gdy z polowego łóżka wpatrywał się w niezmierzoną ciemność kościoła, widział wciąż, jak gdyby ciągle tam był – profil dziewczyny na tle ściany pod witrażem Noego. Powiedziała, że „dozorca”, jak go określiła, przykazał jej zaczekać do zamknięcia kawiarni; stwierdził, że wtedy *padre* Spurlock będzie mógł się z nią zobaczyć.

Zatem, pomyślał pastor Spurlock, za to również należy podziękować Luisowi.

– Podziękujmy za to Luisowi! – obwieszczała nieznużenie, czasem z rozbawieniem, czasem z wdzięcznością bądź irytacją, pani Nickerson, parafialna sekretarka o włosach jak u pa-

zia. Luis, który na liście płac figurował jako kościelny, a sam, choć pracował w parafii od czterdziestu lat, pod szóstym już proboszczem, mówił na siebie *portierro*. Do pomysłu urzędnienia kawiarni podszedł z właściwą sobie bierną pobłażliwością. Ciekawe, zastanawiał się Spurlock, ile już razy Luis widział, jak w parafii rozkwitają, a potem więdną takie i inne „działania na rzecz potrzebujących”. Ile godzin, dni, lat sprzątał po rozmaitych imprezach z udziałem wolontariuszy, amatorskich przedstawieniach, składkowych przyjęciach i operach rockowych, ile razy ustawiał w alei stoliki z wodą przed niedzielnymi maratonami, ile razy zmiatał na szufelkę nieprzebrane bogactwo psich kup po dorocznym święceniu zwierząt, szeroko rozgłaszanym w kościele? Każde nowe polecenie Spurlocka kwitował wyuczonym i beznamiętnym:

– Jeśli *padre* sobie życzy...

No ale kto jak nie on teraz na koniec każdego dnia składał krzesła i stoliki? Należało mu podziękować: za to, że wkręcił w ścianę uchwyt na łańcuch, że co wieczór zmiatał z chodnika przed kościołem saszetki po cukrze, skórki z cytryny i mieszadełka do kawy, że co rano otwierał lokal pierwszym klientom, parzył kawę i wykladał na ladę wypieki.

Należało mu też podziękować – i niestety chyba także Bogu – że nie zamyka na klucz bocznych drzwi kościoła. Luis zaczął się dopuszczać tego odstępstwa od swoich obowiązków niedługo po otwarciu kawiarni, jak gdyby chciał powiedzieć: „Skoro wabimy zamożniejszych przechodniów z alei na *capuccino* i biszkopty, *ciertamente* moglibyśmy ugościć także tych nędzniejszych, dając im kątek do spania”. Z początku do środka zakradały się najwyżej jedna, dwie nieokreślone postacie, które Spurlock rozpoznawał mgliście z kościelnych schodów: przesiadywały tam za dnia, a na noc zagrzebywały się w legowiskach z kartonów, gazet, folii bąbelkowej i strach myśleć czego jesz-

cze. Gdy zrobiło się chłodniej, w otwartym kościele pojawiały się kolejne osoby. Niedługo potem zaczęły napływać pochwały ze strony władz miejskich, skargi od jednych parafian i wyrazy entuzjazmu od innych, a zebrania rady parafialnej wypełniły długie, żmudne debaty, podczas których powtarzano w niekończoność solenne frazy: „robimy to dla braci Jego najmniejszych”, „przynajmniej tyle możemy dla nich uczynić”, „pełnimy misję”, „mamy jasno określoną misję”, „poszerzamy misję”...

– Za to wszystko, szefie, trzeba podziękować Luisowi – oznajmiła pani Nickerson, jak gdyby mówiła to po raz pierwszy, wręczając Spurlockowi list z wyrazami uznania od władz.

Całonocnymi gośćmi byli mężczyźni, głównie starsi; wielu z nich drżało, wszyscy byli milkliwi. Bóg wie, jak długo żyli na ulicy i czego doświadczyli w oficjalnych miejskich schroniskach Bellevue czy Wards Island, że trzymali się od nich z daleka. Parafianie woleliby pewnie gościć dręczone kobiety lub nastoletnich homoseksualistów, których mieszczańscy rodzice wypędzili z domów, ale ci mrukliwi włóczędzy i tak niechętnie przyjmowali oznaki współczucia czy troski. Opancerzeni w zatłuszczone łachmany i okryci chmurami smrodu z trudem znosili najbłahsze wyrazy szacunku.

Pastorowi Spurlockowi największą trudność sprawiał właśnie ten smród. Któregoś razu, wiedziony czymś, co określał jako odruch solidarności, zaczął przez cztery noce w tygodniu sypiać wśród nich na łóżku polowym. Zapadał w sen na krótko, znużony trudami dnia, lecz szybko się budził, gdy tylko uderzył w niego oblepiający opar brudu, zepsutych zębów, moczu i łuszczącej się skóry. Z początku sądził, że się przyzwyczai, może nawet polubi to jako oczyszczającą pokutę. Solidarność z ubogimi, z nagimi, z więźniami! Cóż za wyboista ścieżka zbożnego samozaparcia! Cóż za szlachetność! Cóż za absurd! W gardle wezbrała mu gula zdławionego idealizmu z czasów



seminarium, po czym rozpuściła się, jak gdyby czknał. Jak szybko się to wszystko potoczyło! Jak szybko przeobraził się ze świeżo wyświęconego diakona tymczasowego – nieopierzonego i rozpromienionego, radykalnego w podejściu do liturgii, z głową pełną wymyślnych projektów dla młodzieży – w znerwicowanego, cierpiącego na bezsenność proboszcza uwięzionego w niemrawej parafii, a właściwie jej resztki, z wiecznie niedomagającym budżetem. Jego poprzedniczka, pastorka Janice, przeniosła się do centrum miasta, gdzie miała służyć jako kanoniczka w katedrze, i zabrała z sobą swój dźwięczny śmiech, swój słynny saksofon oraz młodszą połowę kongregacji. Starszy administrator na zebraniach rady parafialnej wciąż uparcie nazywał Spurlocka Syneczkiem. Owszem, Spurlock był najmłodszym proboszczem w niemal dwustuletniej historii parafii, ale miał wrażenie, że to, co zostało z młodości, wisi na nim jak wieczorowa marynarka na kimś, kto w niedzielę rano wraca do domu. Po pięciu krótkich, lecz znojących latach wyładował na płaskowyżu pod nazwą „wiek średni” i przyglądał się z oddali, jak jego żona Bethany w pocie czoła pracuje w kancelarii prawnej, ponieważ, jak mówiła, ktoś w ich małżeństwie musi zarabiać na życie.

Bethany mocno wyróżniła się w ekipie, którą szefowie kancelarii wyznaczyli do bronienia pewnej korporacji farmaceutycznej przed pozwem zbiorowym i nagrodzili ją za to rosnącą w nieskończoność listą obowiązków, przez co teraz odpowiednio więcej czasu spędzała w pracy. Gdy wyznaczono ją do tej sprawy, Spurlock obwieścił z niejaką satysfakcją, że będzie dbał, by w domu zawsze czekała na nią kolacja – o którejkolwiek godzinie wróci – lecz to postanowienie wyładowało na tym samym cmentarzysku, co wiele innych jego małżeńskich inicjatyw, jak nauka brydża czy wspólne chodzenie na jogę. Bethany wolała zjeść kolację z członkami swojego zespołu, by

potem móc do późna ślęczyć z nimi w pracy, i gdy wreszcie pod drzwiami rozlegał się stukot jej obcasów, Spurlock zawsze od dawna już spał na kanapie, przygwożdżony cielskiem beztroskiej kotki Perpetui. Nie uzgodniwszy tego z żoną ani nawet z sobą, Spurlock zwiększył liczbę swoich dyżurów w zaimprovizowanym schronisku z jednej do dwóch, a potem czterech nocy w tygodniu.

Czyżby jakimś przewrotnym sposobem doszedł do tego, że w o l i spać w kościele, w fetorze potu i nędzy, niż we własnym domu? Czyżby właśnie tak Duch Święty sprowadził jego duszę na drogę cnoty: nie przez perswazję, lecz po prostu pozbawiając go alternatywy? Nie, jednak nie. Spurlock zdawał sobie sprawę, że spędza większość nocy w schronisku nie dlatego, że to cnotliwe, lecz dlatego, że jest to wiarygodny, a zarazem łatwy sposób stawienia choć minimalnego oporu; dzięki niemu mógł łatwo oddalić się od swojego gabinetu na piętrze, od biurka pani Nickerson i zstąpić w ciemność kościoła. Skoro kościół był statkiem – to właśnie znaczyło słowo „nawa”, jak tłumaczył co roku garstce znudzonych kandydatów do konfirmacji – przemożna siła grawitacji ściągała go na dół, do kajuty zamieszkaanej przez tę szkieletową załogę, upiornych pasażerów na gapę. Gdy to wytłumaczenie straciło moc przekonywania, zaczął sobie powtarzać, że wszystko się zmieni, gdy zakończy się proces firmy farmaceutycznej lub przynajmniej gdy Bethany awansuje w kancelarii na pełnoprawną partnerkę. O ile jednak niegdyś ta perspektywa działała na niego krzepiąco, teraz napełniała go lekką trwogą.

Tamtego wieczoru to ona odezwała się pierwsza:

– Czy *padre* oznacza, że jesteś tu, ojciec... – zawahała się i odchrząknęła, jak gdyby nienawykła do brzmienia własnego głosu – przełożonym?

Do tej pory jej profil wyglądał srogo, wyostrzał go wysoki grzbiet nosa i pociągnięte czarną kreską brwi. Teraz, gdy obróciła się w jego stronę, wyglądała młodziej, a pełne usta miała zasznurowane w wyrazie niepewności. Spurlock zmieszał się, gdy poczuł na sobie jej spojrzenie. W jej twarzy coś błysnęło złotawo, może kolczyk w nosie lub brwi, może w uchu? To nie ozdoba, pomyślał, tylko umartwianie się. Jakże młodzi ludzie muszą być udręczeni swoim straszliwym pięknem!

– Przełożony? Brzmi niezłe – powiedział, przybierając uprzejmy ton. Dziewczyna nie odwzajemniła uśmiechu, dodał więc: – Tak, jestem proboszczem. Nazywam się Nelson Spurlock. W czym mogę pomóc?

Jej następne słowa utkwily mu w pamięci na zawsze:

– Sądzę, ojcze, że możesz mieć coś dla... dla Clementine Abend. Coś, co przysłał mój ojciec.

Jej ojciec? Czyją mogła być córką? Czyżby go z kimś pomyliła? Może poznali się już kiedyś, a potem Spurlock o niej zapomniał? Nie, pomyślał natychmiast, to niemożliwe. Nie zapomniałby takiej twarzy.

– Nie rozumiem – powiedział. – Pani ojciec miał tu coś przysłać?

– Może list. Nie wiem dokładnie. Może jakieś dokumenty.

– Pani ojciec jest z tej parafii?

– Nie, on jest... był psychoanalitykiem. Ale zdaje się, że jego pacjentka... Zdaje się, że kiedyś odprawiles, ojcze, pogrzeb jego pacjentki. Niejakiej Jessiki Burke.

Jessica Burke. Spurlock pamiętał ją doskonale. Jego pierwszy pogrzeb po mianowaniu na proboszcza. Jessica przedawowała narkotyki. Miała wtedy dwadzieścia osiem lat, niewiele mniej niż on. Nie znał jej za życia, kościelny ustawił jednak obok trumny stojaczek z portretową fotografią, którą Jessica Burke, początkująca artystka, zrobiła sobie w lustrze. Stała za

jakimś kosztownym aparatem skrzynkowym, hasselbladem lub rolleifleksem, twarz miała nachyloną ku wizjerowi, a chudą, mocno wytatuowaną rękę uniosła nad głowę i przytrzymała nią włosy, by nie spadły na twarz. Zdjęcie sprawiało wrażenie, jakby Jessica zjawiała się na własnym pogrzebie jako fotograficzka, niestosownie ubrana, obojętna, zirytowana, że musi pracować w sobotni ranek.

– Pani ojciec znał mnie tylko dlatego, że odprawiłem pogrzeb jego pacjentki?

Dziewczyna rozłożyła na ladzie odręcznie zapisaną kartkę.

– On pisze tutaj... – Urwała, po czym zaczęła od nowa: – Ten dokument to testament, jego ostatnia wola, przynajmniej jej część.

– Ostatnia wola pani ojca?

– Tak. Jest napisana po francusku. Mogę przetłumaczyć, ojcze, jeśli chcesz.

Spurlock bąknął, że uczył się trochę francuskiego w liceum, ona jednak, wodząc palcem w ślad za precyzyjnym pochyłym pismem, już zaczęła czytać:

– Zaczyna się tak: „*Maître...*”.

– Czyli „panie”? – spróbował zgadnąć Spurlock.

– Tak – zarumieniła się, może ze zniecierpliwienia – ale takiego zwrotu używa się w stosunku do adwokatów czy znawców prawa. No więc tak: „*Maître...*”. – Tłumaczyła płynnie z francuskiego, przerywając od czasu do czasu i szukając w głowie najtrafniejszych angielskich wyrażen. Prawnicze sformułowania przychodziły jej na myśl bez trudu, jak gdyby miała już wprawę w czytaniu ostatnich życzeń zmarłych. – „Ja, niżej podpisany, zamieszkały obecnie przy West 79th Street 152 w mieszkaniu 8A, w mieście Nowy Jork, stanie Nowy Jork, niniejszym dodaję kodycył do mojej ostatniej woli. Ponieważ lokum...”. Nie, tak źle. Nie lokum, raczej domostwo... a może

lokal? „Ponieważ lokal, który zamieszkiwałem z córką przez okres jej niepełnoletności, od tej pory ma zostać opróżniony i sprzedany, niniejszym rozporządzam, by zgodnie z... – urwała znów – by stosownie do postanowień związanych z moim majątkiem wszelka przyszła korespondencja dotycząca rzeczowego majątku przekazywana była mojemu jedynemu dziecku i jedynej dziedzicze”... Nie, nie „jedynej dziedzicze”, lepiej „wyłącznej spadkobierczynie”: „mojej wyłącznej spadkobierczynie pod następującym adresem”. Oto ten adres. – Obróciła kartkę tak, by Spurlock mógł przeczytać:

Clementine Abend

do rąk własnych ks. proboszcza Nelsona Spurlocka

Parafia Wcielenia Pańskiego

Nowy Jork, stan Nowy Jork, USA

– To ten kościół, zgadza się? – Spurlock skinął głową, tymczasem ona tłumaczyła już dwa ostatnie zdania: – „Z wyjątkiem przedstawionego niniejszym zastrzeżenia potwierdzam i ogłaszam ponownie mój testament podpisany przy świadkach 15 sierpnia 2008 roku i złożony w kancelarii prawnej Crulwich, Labrie i Steiner. Proszę przyjąć, *maître*, moje wyrazy najgłębszego szacunku. 29 sierpnia 2008 roku”. Tyle – dokończyła. – Nawet nie podpisał.

– Nelson Spurlock to ja. – Pastor usłyszał swój głos. Speszzył się, widząc własne nazwisko na kartce napisanej niespełna dwa miesiące wcześniej przez nieznanego mu człowieka; czuł się usidlony jego odręcznym pismem, uwięziony w języku, który słabo rozumiał.

– Zatem jeśli cokolwiek przysłano do mnie, przysłano to tutaj.

– Tak wynika z tego pisma? – spytał Spurlock.

– Nie otrzymałeś niczego, ojcze?

– Nie otrzymałem? – powtórzył, jak gdyby to też było obce słowo.

– No, jakiejś poczty. Jak mówi to pismo. Czy nie przyszło nic na moje nazwisko mniej więcej przez ostatni miesiąc?

– Nie, chociaż... Nie... Może moja sekretarka... – jękał się Spurlock, choć przecież było niemożliwe, by jakikolwiek list przeszedł przez ręce pani Nickerson bez otwierania. – Nie, nic nie zauważyłem – dokończył.

– Ani list? Ani paczka?

– Nic. – Z zaskoczeniem poczuł, że ta odpowiedź go zabolęła. Dlaczego właściwie miało go boleć, że rozczarował tę nieznaną, niemal dwukrotnie młodszą od niego dziewczynę? – Przykro mi, panno Abend. Ale jeśli zapisze mi pani swój adres i może także telefon, obiecuję, że dam pani znać, jeśli coś się pojawi. Kiedy coś się pojawi. Dam znać natychmiast.

Wtedy, właśnie w tamtej chwili, w wyrazie jej twarzy nastąpiła zmiana. Dziewczyna nagle spojrzała na niego tak, jakby to on mówił w niezrozumiałym języku.

– Obiecuję – ciągnął – Clemen... panno Abend, że jeśli adres podany w kodycyłu, ten na Upper West Side, jest już, no... nieaktualny – brnął w kolejne gafy – to może jest jakiś właściwszy, pod jakim mogę panią zastać?

– Że co?

– No, jeśli ten adres... jeśli jest jakiś lepszy adres... W każdym razie obiecuję, panno Abend, że... – Spurlock miał nieodparte wrażenie, że mówi wyłącznie do siebie.

– Clementine Abend... – zaczęła, ale nie dokończyła.

– Tak, Clementine, jeśli mogę... – mówił, zakłopotany własną natarczywością – potrzebuję tylko... – Wyjął z kieszeni długopis, nie mógł jednak znaleźć żadnego papieru, zaczął więc zapisywać sobie na dłoni: – Clementine Abend – powtó-

rzył pomału i wyraźnie. Dziewczyna wówczas wymamrotała, że musi już iść, odeszła od lady, podeszła do stolika pod witrażem przedstawiającym Noego, błyskawicznym ruchem zarzuciła plecak na ramię i wyszła na ulicę. Spurlock poczuł na sobie świdrujący wzrok kruka.

– No i co teraz, ojczy? – zdawało się pytać ptaszysko.

Działo się to trzy tygodnie temu. Przez następne dni Spurlock często łapał się na tym, że zastanawia się, czy Clementine Abend zjawi się raz jeszcze i znów spyta, czy do jego rąk trafiła jakaś poczta zaadresowana do niej.

Do moich rąk, powtórzył w myśli.

Abend. Nic mu to nazwisko nie mówiło.

Przewertował księgi parafialne, ale nie znalazł nikogo, kto by się tak nazywał. Przekartkował nawet księgę wizyt w kancelarii aż do dnia pogrzebu Jessiki Burke trzy lata temu. Abend. Abend. Nikt nie przychodził mu na myśl, choć ufał swojej pamięci do nazwisk i twarzy, zarówno parafian, jak i gości. Jeżeli przyjdzie jakaś poczta, jak odnajdzie Clementine? Nie zostawiła żadnego śladu. Musiał po prostu czekać, aż zjawi się ponownie, ona jednak nie dawała znaku życia. Czy przyczyną jego niepokoju było wyłącznie to, że ujrzał własne nazwisko uwięzione w nieczytelnym manuskrypcie nieznanego? Czy może, zaczynał podejrzewać, raczej coś zupełnie innego: to, że może nigdy więcej nie zobaczy tej twarzy, jej twarzy?

Minęły trzy niespokojne tygodnie. Dziewczyna się nie zjawiła. Nie przyszła też do niej żadna poczta. Aż do dziś. Spurlock zamrugał, żeby odpędzić sen. Nie chciał snu, który nakrywał całe jego ciało swoim wstrętnym, zimnym i sztywnym ciężarem. Gdyby umiał po prostu odpędzić go od siebie, podnieść się z polówki, udowodniłby sobie, że ten ciężar nie jest

ciężarem. Poszedłby po ciemku do kancelarii i przekonał się, że list leżący na jego biurku jest jedynie listem, tym samym przedmiotem, jakim był wówczas, gdy nieświadomy niczego Spurlock otwierał kopertę. Przyszedł ze zwykłą codzienną pocztą, jeden z wielu listów, jakie trafiały na jego biurko, jedna z wielu przesyłek, jakie zwykle przychodziły od księgowych, doradców podatkowych, rewidentów czy kancelarii diecezjalnych. Pani Nickerson opatrywała je datą i wkładała do odpowiednich teczek lub odkładała na bok, jeśli wymagały omówienia na zebraniach rady. Cóż więc miał począć z tym, że ta właśnie koperta, prostokąt śliskiego, prążkowanego papieru z zagranicznym znaczkiem, nie pasowała, jak się okazało, do żadnej przegródki i została opisana starannym drukowanym pismem jako prywatna i poufna? Gdyby otworzył ją ponownie, ujrzalby plik kartek cieniutkiego, nieważkiego peluru. Może odkryłby, że wcale ich wcześniej nie przeczytał jednym tchem, siedząc jak sparaliżowany, że to także był jedynie strzępek snu, który strząsnął z siebie i odrzucił precz. Może odkryłby, że nie słyszał jeszcze zapisanego w nich głosu: napiętego, cierpliwego, gorączkowego, rozdrażnionego, natarczywego niczym wiertło wgrzyzające się w skałę.

Nie pamiętasz mnie, ojczu. Nazywam się Daniel Abend.

Jakiś krzyk wyrwał go z zamyślenia. Czy to on krzyknął, czy ktoś ze śpiących? Spurlock usiłował skupić na czymś wzrok, znaleźć punkt zaczepienia w ciemności wirującej nad głową, ale na próżno, była to owa szczególna, absolutna czerni witrażu nocą, o szybkach i ołowianych ramkach jednakowo wyzbytych światła, z postaciami równie czarnymi jak kruk Noego. Przez oddechy i szmery z łóżek dobiegał pomruk niespokojnej alei – najwyraźniej noc nie była jeszcze późna – lecz czarne okna



stwarzały wrażenie, że kościół, niczym jaskinia lub chodnik w kopalni, nie ma żadnego zewnątrz.

Sądzę, ojcze, że możesz mieć coś dla... dla Clementine Abend. Coś, co przysłał mój ojciec...

– tak powiedziała trzy tygodnie temu, zwrócona ku niemu już nie srogim, ostro zarysowanym profilem, lecz wprost, i tak właśnie widział ją teraz: idealnie owalną twarz, matowe, nikłowo szare oczy, gdzieś z boku złoty błysk, pewnie kolczyk, pomyślał Spurlock, wpięty dlatego, że dla młodych ludzi własne piękno jest nieznośne.

...coś dla Clementine Abend.

Nie, to oczywiste, że nie była już dziewczyną, mimo że tak czyste były te jej szare oczy, tak gładkie krzywizny policzków. Jej twarz została zaciągnięta przez kogoś lub przez coś niewidzialnym woalem troskliwej opieki.

Sądzę, ojcze, że możesz mieć coś, co przysłał mój ojciec.

Gdy wtedy przyszła, nic dla niej nie miał, dziś jednak wśród porannej poczty znalazła się ciężka koperta zawierająca plik leciutkich kartek.

Nie pamiętasz mnie, ojcze. Nazywam się Daniel Abend.

Spurlock, zgarbiony nad biurkiem, przeczytał list, nie zauważając, że pani Nickerson wyszła już do domu, że słońce zaczęło gasnąć w oknie za jego plecami, że cały świat zaczął znikać, a wraz z nim jego własne ciało; Spurlock stał się tylko cieniem

schylonym nad plikiem kartek w świetle lampy, delikatnych, lecz gęsto wypełnionych maszynowym pismem, wypełnionych nieustępliwym ciężarem samych słów, tym samym, który teraz go przygniatał.

Clementine Abend nie wróciła. Spurlocka wypełniła nieuzasadniona, lecz zarazem nieodparta pewność, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Sen ukoił wreszcie udręczoną duszę pastora, lecz nawet gdy już otuliła go ta pozbawiona zewnątrz czerni, czuł, że ona drży i pęka, że pokrywa się siateczką rys, dzieli się na mrowie kawałków, drobnych poruszeń, z początku chaotycznych, następnie nabierających kształtu, najpierw obracającej się sfery, potem wirującego stożka – ten zaś zaczął opadać mu na pierś jak chmara kosów, która jesienią po zmroku zlatuje na samotne drzewo.

„Dusza próbuje odwrócić wzrok, uciec od tej powinności”,  
myśli pastor Nelson Spurlock, który niespodziewanie staje się  
powiernikiem tajemnic psychoanalityka Daniela Abenda. Będziecie  
się czuć podobnie. Bo historia tajemniczej śmierci jednej  
z pacjentek Abenda, opowiedziana w listach do duchownego, jest  
jedną z tych zagadek, które chcielibyście natychmiast rozwikłać.  
Ale równocześnie z każdym kolejnym strzępkiem informacji  
zastanawiać się będziecie, czy rzeczywiście chcecie znać prawdę.  
To opowieść wciągająca, napisana pięknym językiem,  
coś więcej niż tylko dobry thriller.

**Justyna Suhecka, Natalia Szostak**  
**„Krótka Przerwa”**

Minione zbrodnie i wspomnienia o dawnej ukochanej – powieść,  
która bada, co to znaczy kochać, zdradzać i wybaczać. *Zostaw ten  
świat pełen płaczu* jest wyrafinowaną i zaskakującą literacką zagadką.

Wybitna proza w wybitnym tłumaczeniu cenionego pisarza  
i tłumacza – Macieja Płazy.



cena 39,90 zł

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



PATRONAT MEDIALNY

**krótka**  
przerwa